

” Trudno orzec, do czego w nas odwołuje się muzyka. W każdym razie pewne jest, że dotyka rejonów tak głębokich, iż nawet szaleństwo nie potrafi tam przeniknąć.
~ Emil Cioran

książki
muzyka
kino
teatr
sztuka

komiks
szkic
wywiad
relacje

bieżnia
strych
aleje biblioteki
trans lat lantary

patronaty
przepowiedni
polemiki

proza
poezja
aktualności

konkurs
nowości wyd.
stowarzyszenie

archiwum
kontakt
linki

search ▶



Lubię celować w próżnię

Z Wojtkiem Cichoniem, slamerem, autorem płyty *Dziła Zabrane*, rozmawiali Joanna Bociąg i Patryk Szaj.

Joanna Bociąg: Spotkaliśmy się przy okazji wydania przez Ciebie płyty *Dziła Zabrane*, chcielibyśmy jednak porozmawiać o Twojej twórczości przekrojowo, dlatego na początku proponuję cofnąć się do *Pesymisji*. W utworze otwierającym ten krążek rapowałeś: „Gdybym wiedział, jak współgrać z ludźmi, pewnie w życiu bym nie brudził tych kartek”. Czy te słowa nadal pozostają aktualne?

Wojtek Cichoń: Myślę, że tak. Jest lepiej, niż było wtedy, na pewno dużo się nauczyłem, bo nie jestem totalnie społeczną postacią, która nie ma żadnej styczności z ludźmi. Położyłbym nacisk raczej na fakt, że trudność akceptacji tego, jacy ludzie są, jak wyglądają relacje międzyludzkie, czasami bywa dla mnie zbyt duża – wtedy przelewam to na kartkę i nagrywam. Myślę, że główną motywacją mojego pisania jest właśnie nieradzenie sobie z różnymi rzeczami, nadwrażliwość, poddawanie zbyt wielu spraw analizie. Inaczej mówiąc, to taki wentyl bezpieczeństwa.



J.B.: Pytam, bo od *Pesymisji* minęło już prawie dziesięć lat, a coraz rzadziej brudzisz kartki, angażujesz się za to w mnóstwo projektów, które wymagają nie tylko współpracy z ludźmi, ale także kierowania ich działaniami. Chyba jakoś pogodziłeś się ze światem.

W.C.: No tak – istnieję. Bardzo dużo czasu zajęło mi nauczenie się panowania nad własnymi emocjami, także uwolnienie się od przeświadczenia, że jestem pepkiem świata. Wcześniej było różnie, miałem ze sobą problemy... Pewnie ciągle je mam, ale już mniejsze, no i jakoś tam istnieję. *Dziła Zabrane* są zbieraniną tekstów z naprawdę dużego przedziału czasu, na przykład drugi utwór, *Bądź piękna tylko dla mnie*, jest strasznie osobisty i gdy go słucham – choć nie słucham siebie zbyt często – wszystko przewraca mi się w środku, bo to jakaś część mnie, którą starałem się porzucić.



Patryk Szaj: Skoro już zaczęliśmy od *Pesymisji*... Masz jeszcze dwa lata na spełnienie obietnicy, którą tam złożyłeś: „bierz ten nielegal, za dziesięć lat go sprzedasz i kupisz sobie domek”.

W.C.: (śmiech) Nie wyjdzie, sorry. Z drugiej strony – w Internecie pojawia się sporo informacji nieoficjalnych, podawanych przez takich ludzi, jak Wy chociażby, więc bardzo dużo się wokół tego wszystkiego dzieje. Nigdy nie było moim priorytetem, żeby mnie „usłyszano” i pisano, że moja działalność jest wartościowa, ale takie sygnały na pewno stanowią dużą motywację, żeby się nie poddawać i skupiać wokół siebie ludzi, którzy podobnie widzą świat, podobnie odczuwają życie, mają podobne problemy.

P.S.: *Pesymisja* jest właśnie takim materiałem, w niektórych kręgach uchodzącym za – nie bójmy się dużych słów – kultowy...

W.C.: W niektórych kręgach, no, pięćosobowych (śmiech).

P.S.: ...Jakie są szanse, że Międzymiastowa wyda jeszcze kiedyś płytę?

W.C.: Franek [producent odpowiedzialny za muzykę w zespole Międzymiastowa – przyp. red.] odnajduje się teraz w życiu, wziął się poważnie za granie na kontrabasie. Gra w Filharmonii Białostockiej. Dałem mu drum-maszynę, którą od kogoś pożyczyłem, i kombinuje. Nie wykluczam, że zrobimy coś razem, ale na pewno nie będzie to już brzmiało tak, jak płyty z młodszych lat. Jesteśmy innymi ludźmi, szukamy innych rzeczy muzycznie, szczególnie Franek, który tak naprawdę słucha głównie muzyki poważnej. Rapu również, ale w dużo mniejszym stopniu. Także – zobaczymy, nie jest powiedziane, że nie.

Jutro spotykam się też z Faczyńskim, z którym nie widzieliśmy się od kilku lat. Ciągnę za różne sznurki, bo robimy tę składankę Skweru [netlabel specjalizujący się w wydawaniu płyt okolorapowych – przyp. red.] i badam, kogo by jeszcze można zwerbować.

P.S.: Składanka Skweru ukaze się w 2013 roku?

W.C.: Miejmy nadzieję. Ja jestem osobą, która to spina, czyli kopię po głowach wszystkich możliwych ludzi. Dużo z nich jest młodych, studiuje. Jakos się do Skweru przypaęłali, dobrze się rozumiemy, ale każdy siedzi w innym kąciku Polski, nikogo nie ma tutaj, na miejscu, więc kontakty odbywają się przez Internet, ewentualnie przez jakies wyjazdy. Gdyby to była moja praca, ogarnąłbym tę składankę szybko, ale robię ją po godzinach.

P.S.: Wiesz, że można Cię nazwać nowatorem? Z Faczyńskim nagraliście pierwszą w Polsce płytę emo-hopową, z Międzymiastową – pierwszą w Polsce płytę w calosci offbeatową, z ddekombinacją pierwszy projekt łączący rap z breakcorem, a teraz solowo wydałeś pierwszą w Polsce płytę spoken wordową. Dlaczego tak lubisz igrac z formą?

W.C.: Przy pierwszych rzeczach rapowych nie bylo żadnego myślenia typu „robimy coś nowatorskiego”. Pisałem jednocześnie teksty na *Pansofię* i na *Pesymisję*. *Pansofia* jest w ogromnej mierze wizją Faczyńskiego – on miał na nią pomysł, wiedział od początku do końca, jak powinna wyglądac – ja tylko spontanicznie się w to wpasowałem, zupełnie nie myślałem, że będziemy jacyś innowacyjni, po prostu w tamtym czasie brakowało mi w rapie szczerości, ekshibicjonizmu. Czulem, że to, co kolesie mówią, nie jest tym, czym żyją, że ich życie nie jest takie, jak się wszystkim wydaje, bo raperzy wpisują się w wykreowany obraz, który tak naprawdę sytuuje się z dala od rzeczywiŝtości. Ja chciałem, żeby te dwa projekty byly wkurwione, a jednocześnie zrezygnowane. Taki miałem okres.

Ddekombinacja wynika z tego, że w zasadzie przestałem sluchac rapu. Po prostu nie mogłem. Po pierwsze, tekstowo wszystko to bylo nie za fajne, po drugie – muzycznie nijakie. W muzyce musi się coś dziać, nie może brzmieć wciąż tak samo: bity, refren, skrecze. I idziemy do domu. Gdy kończyliśmy nagrywać *Osete*, myślałem, że już nie będę robił takich rzeczy. Wtedy wpadłem na różne inne gatunki i zacząłem wymieniać maile z Marianem, z którym znalazłem się jeszcze z Elbląga, i tak to się potoczyło.

A *Dziata Zabrane...* nie wiem, czy są tak bardzo innowacyjne. Powstają płyty, na których ktoś mówi swoje teksty, choć oficjalnie nie opatruje tego mianem „spoken word”. Mnie zależy, żeby ten gatunek rozkwital w Polsce na zasadzie scenicznej. Nie na zasadzie wieczorów poetyckich, na których poeta czyta przy lampce swoje wiersze i wszyscy się wzruszają, ale nikt nie reaguje.

P.S.: Nie wszystkie wieczorki poetyckie tak wygladają.

W.C.: Różnie by wa, ale taki model jest ograny.

P.S.: A czy w Polsce istnieje coś takiego, jak scena spoken word?

W.C.: Myślę, że powoli się rodzi za sprawą ludzi, którzy identyfikują się z tą formą. To wyrasta na slamach poetyckich niejako siłą rzeczy, bo nie przychodzą na nie sami raperzy albo sami poeci klasyczni – jest różnorodnie. Na tej platformie tworzy się scena ludzi, którzy jarają się tym, że powiedzą swoją rzecz i spotkają się z żywą reakcją, że mogą pokombinowac z tekstami, które przedstawiają. Ale jeśli na razie mamy problem z regularną organizacją slamów w całej Polsce, to jeszcze trudniej zorganizowac imprezę „spoken word”, na którą przyjdzie, powiedzmy, pięciu poetów, a ludzie nie będą ich oceniać, tylko sluchac, jak mówią swoje wiersze. Tak jest na przykład w Wielkiej Brytanii. Tam odbywa się więcej imprez spoken wordowych niż slamów. Slamu wszyscy się boją, bo to jednak konkurs, a na spoken word każdy chętnie przyjdzie, gdyż fajnie sobie posluchac poety, czasami się pośmiać i napić przy tym piwa.

J.B.: Gdy we wspomnianym utworze *Bądź piękna tylko dla mnie* mówisz: „szkic uczuć na płótnie przybrał cielesność poparzeń”, pojawiają mi się w głowie obrazy Jacksona Pollocka. To skojarzenie można pociągnąć dalej. Pollock, podobnie jak Ty, igrac z formą. Pozornie na jego obrazach panuje chaos – co kojarzy się z ddekombinacją – ale on zawsze wszystko trzymal w ryzach. Mam wrazenie, że zachodzi tu między Wami analogia.

W.C.: Aaaa, porównują mnie do Pollocka (śmiech). Wiesz co... nie myślałem o tym zupełnie. Ja mam problem ze sztukami wizualnymi, bo mój ojciec jest rzeźbiarzem, czyli zawodowym artystą. Jeśli wychowujesz się w takim domu, w pierwszej kolejności buntujesz się przeciw temu, co robi twój stary. Dlatego starałem się nie wnikać na przykład w muzykę, której on slucha, to znaczy w

rzeczy jazzowe, ani tym bardziej w sztuki pięknie. W jazz już niestety wszedłem, teraz zostały tylko sztuki wizualne (śmiech). Podoba mi się to, co robił Pollock, ale to miało rację bytu kiedyś, wówczas było innowacyjne i nowoczesne, teraz stało się częścią kanonu i funkcjonuje na zasadzie „o, to wygląda jak Pollock, powieśmy to sobie nad łóżkiem w sypialni”. Malarstwo Pollocka nie ma już takiej mocy, jaką dysponowało kiedyś. No nie wiem, super, że masz takie skojarzenie, cieszę się, że chce Wam się wnikać tak głęboko.

J.B.: Mnie to skojarzenie przyszło do głowy między innymi przez *Mapę i terytorium* Houellebecqa. Jest w niej fragment, który odnosi się do cielesności połączonej z silnymi emocjami, które przekładają się na obraz.

W.C.: Houellebecqa czytałem tylko *Cząstki elementarne*, ale ja mam problem z pisarzami, o których się w pewnym momencie pisze i mówi... W ogóle – jak już tak analizujecie – nie wiem, czy zauważyliście, że mam też straszny problem z pisaniem o sferze erotycznej. Ja to muszę iść do psychologa (śmiech). Dlatego Houellebecq tak sobie mi podchodzi, bo jakoś się w nim nie odnajduję. Może nie jestem na tyle dojrzały, a może cielesność nie stanowi dla mnie ważnego obszaru...

J.B.: Ważne jest dla Ciebie natomiast przekraczanie granic zarówno w rapie, jak i w poezji. Z jednej strony uwalnia to duży potencjał – powiedzmy – transgresyjny, ale z drugiej – stwarza ryzyko, jak sam mówisz, „spychania siebie na margines”. Jak czujesz się w takim byciu pomiędzy? Pytam szczególnie w związku z projektem *ddekombinacja*, który funkcjonuje trochę w próżni, bo jest bardzo hermetyczny. Nie żal Ci tego?

W.C.: Nie, tak naprawdę właśnie w to celowałem.

J.B.: W tę próżnię?

W.C.: (śmiech) Tak, lubię celować w próżnię. To był – jak mówi moja koleżanka – wzwód wymierzony w nicłość. Chciałem, żeby *ddekombinacja* była bardzo hermetyczna, żeby tylko wybrani ludzie mogli przez nią przeskoczyć. Niczego pośredniego – albo wchodzisz w to całkowicie, albo myślisz sobie: „e tam, w ogóle nie słyszę, co on gada”. Poza tym na *ddekombinacji* chyba po raz pierwszy świadomie zacząłem szukać nowych sposobów pisania. Tam jest mnóstwo rzeczy, które niekoniecznie składają się w kupę, w związku z czym miałem kiedyś chwile dużego zwątpienia. Myślałem: „jaa, przecież tego nikt nie kuma”. Jak ta płyta wyszła, ktoś ją w ogóle zauważył dopiero po pół... po półtora roku. Chciałem nawet zrobić wytłumaczenie tych tekstów, ale na szczęście nie zrobiłem, to by się kompletnie miało z celem. Upchnąłem tam wszystko: książki, które czytałem, osobiste przemyślenia, płyty, których słuchałem, mnóstwo odniesień do prywatnych przeżyć, do lektur filozoficznych. Taki zlepek. Ale jeśli ktoś zapytałby mnie: „słuchaj, o co ci tutaj chodziło?”, byłbym w stanie wszystko wytłumaczyć. Sorry, to jest hermetyczne, ale chyba na tym polega przełamywanie barier, przekraczanie granic, pójście dalej. Szczególnie jeśli chodzi o rap, o całą tę subkulturę, całe to getto, które mnie po prostu mierzi. Trzeba pokazywać, że można inaczej. Można przełamać pewne stereotypy. Ja z tego nie żyję, więc – krótko mówiąc – mogę podjąć ryzyko. W przeciwieństwie do wielu ludzi, którzy po prostu muszą grać koncerty, jeździć po tej śmiesznej Polsce, zarabiać na tym pieniądze.

P.S.: „Raperzy z karierą, których musisz lubić”.

W.C.: Dokładnie. Szczerze mówiąc, może nawet chciałbym mieć taki luksus, żeby usiąść w pokoju przy biurku i zastanowić się „dokąd pójsz z tym albumem”. Może wtedy wyglądałoby to inaczej, a może w ogóle by nie wyglądało, bo musiałbym pracować nad każdym kawałkiem sto godzin, żeby jakoś brzmiał. Ale nie jestem tym „raperem z karierą”, więc robię sobie coś, co tylko luźno wiąże się z rapem... Płyta, którą teraz kończę, będzie rapowa. A co gorsza, rapuję na niej o rapie, więc to będzie dopiero zmuła (śmiech).

Tak naprawdę spośród wszystkich rzeczy, które kiedykolwiek zrobiłem, jedyną, do jakiej wracam, jest *ddekombinacja*. Jestem z niej najbardziej zadowolony. Wtedy wyszła nam z Marianem jakoś spontanicznie, a teraz jest ciężko, chociaż podejmujemy próby dialogu. Mamy problem z dogadaniem się – co jest dla mnie nowością – na poziomie artystycznym, formalnym. Ja nagrywam coś tak, jak chcę, a jemu się nie podoba. Potem to odsłuchuję i myślę: „e, to faktycznie nie to”. Ciągłe szukamy.

P.S.: Pierwsza *ddekombinacja* zawieszona poprzeczkę bardzo wysoko. Ale

jednym jest robienie czegoś, co z ambicji ma dotrzeć do niewielkiego grona odbiorców o określonych kompetencjach, a drugim fakt, że ludzie o tych właśnie kompetencjach z reguły nawet nie wiedzą o istnieniu Waszego materiału.

W.C. I tutaj spotykają się problemy, które od lat jakoś mnie uwierają. Z jednej strony: getto hip-hopowe, rap funkcjonujący na zasadzie „a niech sobie poistnieją ci chłopcy, niech któryś powie w Teleekspresie, jaki jest zdenerwowany albo że nową płytę wydaje. Zróbmy festiwal, zróbmy film, i cześć”. Nikt nie jest traktowany poważnie, może poza Łoną... Nie gadajmy o hip-hopie, bo wyjdzie straszna frustracja...

Z drugiej strony: wchodzi świat muzyki progresywnej, ostrej, zahaczającej o eksperymentalną elektronikę, świat tekstów, które nawiązują do literatury, do różnych dziedzin sztuki i nauki, o których – spojrzmy prawdzie w oczy – przeciętny słuchacz rapu może niekoniecznie wiedzieć. Tym bardziej, że nie mówię wprost: „teraz siedzę, czytam sobie Prousta / ale masz fajne usta” (śmiech).

Jak robiłem ddekombinację, miałem frajdę, że tworzę coś innego, nowego i że sam się z tym świetnie czuję. Fakt – płyta nie dociera do słuchaczy rapu, ale – z drugiej strony – może dotrzeć do ludzi, którzy słuchają awangardowej muzyki, a ci zazwyczaj orientują się również, o co chodzi w hip-hopie. Cieszy mnie, jeśli ktoś zauważa, że ddekombinacja gdzieś funkcjonuje mimo swojej trudności, bo to jest trudna rzecz, nie ukrywajmy. Nie sądzę nawet, że jej odbiór byłby łatwiejszy, gdybym nagrał te same teksty do łagodniejszej muzyki, gdybyśmy zrobili super mastering i tak dalej. Cóż, to jest strona, w którą chciałbym iść, choć może już nie w tak ekstremalny sposób, bo mimo tego całego rozpiardolu lubię też uporządkowane utwory, gdzie wszystko jest czytelniejsze.

P.S.: Wracając jeszcze do Twojego igrania z formą, można powiedzieć, że jest z nim trochę tak, jak z konwersjami Sartre’a i jego koncepcją egzystencji autentycznej. Jak Ci się podoba takie skojarzenie?

W.C.: Sartre to postać, którą zafascynowałem się na studiach. Zresztą pośrednio pisałem z niego magisterkę. Ja myślę, że trzeba wychodzić z tego, co robie, do tego, jaki jestem, jaką mam konstrukcję psychiczną. Wczuwanie się, uwierzenie w coś do końca, sprawia mi problemy. Wszystko zawsze podważam. Ma to na pewno jakiś związek z koncepcją złej wiary. Pamiętam z *Bytu i nicości* opis kelnera, który jest kelnerem w całym tego słowa znaczeniu, zachowuje się jak kelner nawet siedząc w domu. Ja nie potrafię przybrać jakiegokolwiek roli i zaufać jakiegokolwiek „filozofii życia”. Myślę, że ma to podłoże – nie bójmy się tego słowa – psychologiczne. Po prostu nie wierzę w rzeczy do końca. Lubie podważać wszystko, co sam robię. Lubie wycofywać się z własnych inicjatyw. Nie mogę sobie powiedzieć: „róbmy rap, zaufajmy konwencji, które obowiązują, promujmy to i – przede wszystkim – wierzy, że ma to jakiś sens”. Nicemu nie ufam w 100%. Słucham swoich kawałków tylko wtedy, kiedy jest potrzeba, albo mam do nich sentyment. Nie lubię tego robić, bo zawsze jest coś, co mi nie pasuje, co mogłoby brzmieć lepiej albo inaczej. Może chodzi o brak wiary w siebie.

P.S.: Chciałbym jeszcze dopytać o drugą postać, o której mówisz, że wywarła na Ciebie duży wpływ, czyli o Jacquesa Derrida. Dlaczego akurat ci dwaj filozofowie? Może Derrida jest dobrym antidotum na Sartre’a, bo uczy nas, że wątpliwości nie są niczym złym i powinniśmy z nimi żyć bez nostalgii za pewnikami...

W.C.: Ale powinniśmy też umieć na wątpliwościach budować... Derrida jest bardzo trudnym gościem, zarówno jeśli chodzi o czytanie, jak i o rozumienie, ale strasznie mnie pociąga. On nie stawia granic pomiędzy filozofią, poezją, powieścią czy twierdzeniem, u niego wszystko jest płynne, a jednocześnie strasznie błyskotliwe, bardzo mi się podoba jego podejście.

Wszystko, co do tej pory istniało, jest zbudowane na zasadzie opozycji binarnych: albo czarne, albo białe. Ale świat tak naprawdę nie opiera się na takich dualizmach, coraz bardziej widać coraz większą różnorodność, coraz bardziej przekraczamy pojęciowo to, co dotąd było trwałe i „esencjalnie” niezmiennie. Derrida bardzo fajnie podchodzi do tego tematu, świadomie prowokując, wsadzając kij w mrowisko, łącząc rzeczy, które dotąd nie miały wspólnych konotacji, podważając wielkie teksty filozoficzne. Mówi nam, że wątpliwość jest matką postępu. Nie idź ślepo wyznaczoną drogą, tylko kombinuj, zastanów się: „jeśli miałyby być inaczej, to jak?”. To mnie w Derridzie niesamowicie pociąga. Ale musiałbym mieć *full-time job*, żeby zrozumieć to wszystko – to po pierwsze. Po drugie – czytać go w oryginale... No i właśnie – sam fakt języka. Coraz bardziej brak mi słów, żeby wyrazić

wszystko tak, jakbym chciał. Miałem ambicję, żeby każdy dwuwers na ddekombinacji był punchlinem, żeby nie było tam miejsca na coś niepotrzebnego, co byłoby tylko wypełniaczem. Myślę, że na płycie rapowej, która niedługo się ukáže, też to zrobiłem, chociaż inaczej, bo jest bardziej przystępna, jest na niej mniej intertekstualnych odniesień.

P.S.: Nie wiem, od kiedy fascynujesz się Derridą, ale w Twojej muzyce zachodzi pewna...

W.C.: Zmiana paradygmatu (śmiej).

P.S.: Właśnie. Dzieje się to gdzieś pomiędzy *Muzyką Drogi / Droga Muzyki* a ddekombinacją. Na płycie *Osete* rapujesz jeszcze, że negacją posunąć można do samego końca, natomiast na wydanej rok później ddekombinacji, że „totalna negacja w realiach to nie środek” i że „idąc dalej tą drogą, daleko byś nie zaszedł”. ddekombinacja z jednej strony radykalizuje wszystkie Twoje dotychczasowe negatywne konstatacje, ale z drugiej – wprowadza pewien pozytywny potencjał: jak wybrnąć z tego depresyjnego klimatu...

W.C.: Jak już idziemy w taki dyskurs, to idźmy. U Sartre'a najpierw była negacja, egzystencjalizm, potem odpowiedzialność za siebie, a potem – żeby nie stać w miejscu – krok w radykalną politykę. Ja zawsze patrzyłem na to z lekkim niesmakiem. Natomiast jedyną pewną rzeczą w tym, co buduje Derrida, jest niepewność. Nie robi z niej czegoś, co neguje jego dzieło, ale wręcz przeciwnie, próbuje na niej budować. Zaraża jakiś tekst, jakąś narrację, pierwiastkiem *doubt*, czyli wątpliwości, i próbuje na tym utworzyć coś nowego, pokazać nową jakość... No i ddekombinacja jest najświeższym kawałkiem tekstu o tym, jak próbuję sobie wszystko zrekonstruować i uczyć się patrzeć na siebie z zewnątrz, przyjmować do wiadomości, że cały świat też może mieć rację, że niekoniecznie kręci się on wokół mnie.

J.B.: Na *Działach Zabronych* wspominasz także o beatnikach. Dlaczego?

W.C.: Kiedy ślam wchodził do Polski, przeżywałem okres fascynacji tym ruchem, chociaż w sumie czytałem beatników już wcześniej... A dlaczego? Teraz to już jest takie ograne, nie? Beatnicy, hipsterzy i tak dalej. Ale kiedyś było czymś nowym – nieskrępowana poezja, otwarcie zaangażowana politycznie. Nieskrępowana, bo jesteś beatnikiem, épasz, robisz szalone rzeczy, buntujesz się przeciwko systemowi i możesz to praktykować w dowolnej postaci, nie tylko w formie na przykład *Skowytu*. Właściwie nie ma ograniczeń, jest wolność. Piszesz, dobrze się bawisz i kontestujesz. Myślę, że o to chodzi w każdej wartościowej twórczości, która jest pewnym przedziałem wolności nieskrępowanym niczym – ty tworzysz ten świat, to nie jest świat szkoły, pracy, norm społecznych – jest twój. Myślę, że beatnicy właśnie to pokazali w tamtych czasach.

Mam na płycie taki jeden wers: „Moje pojęcie o poezji ogranicza się do [...] ery beatników” – pisałem go na ślam, z myślą o ślamie. Na pierwsze ślami przychodzili ludzie z zupełnie innego środowiska, z jakichś wieczorków poetyckich – chciałem im po prostu pokazać, że może nie jestem czytany, nie znam tych wszystkich polskich czy jakichkolwiek poetów, którymi każdy się zachwyca, ale też mam prawo wyjść na scenę i powiedzieć swoje.

J.B.: Idźmy dalej. W tekstach często opowiadasz o sobie jak o typie antybohatera egzystencjalnego. Czy w życiu czujesz się czasami jak antybohater?

W.C.: Tak, w pewnym sensie tak, ale nigdy w ten sposób nie myślałem. To ma związek z moim charakterem. Wprawdzie nie myślę co dzień: „Jezu, jak ciężko mi dzisiaj wstać do pracy”, ale kiedyś tak było. Miałem różne – powiedzmy – „niezdiagnozowane” problemy, sam musiałem się z nich wydobyć, wszystko przemyśleć, przeanżować, teraz jest dużo lepiej... Czasami miałem z tego bekę, kiedy na przykład rozmawiałem z żoną: „jak ja mogę nie mieć depresji, o czym będę wtedy pisał?”. Ona na to: „nie no, coś znajdziesz”. No i znalazłem, da się pisać bez ciągłej depresji i bez tego strachu przed wyjściem z domu.

J.B.: À propos pisania. Przychodzi Ci ono łatwo czy raczej męczysz się nad kartką?

W.C.: Ostatnio jest gorzej, ale tylko przez to, że mam coraz mniej czasu, bo kiedy się pracuje, wraca do domu o piątej, ma się ochotę na przykład pobyc z bliskimi. Brak czasu jest ciężarem, ale jeszcze większym – motywacją. Ostatnia płyta jest jedyną, do której w miarę się przyłożyłem, jeśli chodzi o promocję.

Wysłałem kilka egzemplarzy recenzenckich, mam patronaty, coś się niby dzieje. Ale w żaden sposób nie wpłynęło to na moje życie. W żaden. Fajnie, że są recenzje, w większości pozytywne, ale ja stoję tam, gdzie stałem. Nigdy nie tworzyłem po to, żeby ktoś mi mówił: „ej, jesteś super, wpadaj do studia, wypłacimy ci trzy miliony dolarów”, ale w pewnym momencie, po tylu latach, człowiek może sobie pomyśleć: „kurczę, byłoby fajnie, gdyby chociaż jedna osoba zainteresowała się, czy mogę gdzieś zagrać koncert”, a to w ogóle nie nastąpiło. Więc jestem trochę zgorzkniały i mam coraz mniej motywacji. Ale na pewno spotkania z namacalnymi ludźmi, którzy chcą słuchać mojej muzyki, przywracają wiarę w sens tego wszystkiego.

J.B.: A czy *Dział...* opłaciły się Tobie jako człowiekowi, tak egzystencjalno-artystycznie?

W.C.: To jest super wizytówka, którą mogę wysłać w świat, ale poza tym... Ja w ogóle nie wierzę w takie nośniki, jak CD – przecież ludzie słuchają raczej .mp3. Ale fajnie, że mogłem wysłać tę płytę kilku osobom, z którymi coś kiedyś robiłem, dać im ją do ręki i powiedzieć: „wiesz, że robię takie rzeczy, możesz sobie posłuchać”.

Zawsze jest cicha nadzieja – tak było też z ddekombi – że po pół roku nagle coś się ruszy, że różni ludzie stwierdzą: „wow, jakie to jest fajne”. Może będzie tak z *Działami...*, ale bynajmniej nie spędza mi snu z powiek obawa, że nie sprzeda mi się płyta. Po prostu po tylu latach człowiek sobie myśli: „fajnie byłoby gdzieś to popchnąć”, choć zaraz potem przychodzi zwątpienie: „nie no, Wojtek obok takich ludzi? Po co to promować, przecież co oni tam gadają w ogóle, daj sobie spokój”.

P.S.: Czyli jednak jesteś antybohaterem.

W.C.: (śmiej) No, chyba tak... Miałem na przykład duże problemy z pytaniem różnych ludzi o patronaty, tak już ze mną jest. Ale podoba mi się odzew w mediach nieoficjalnego obiegu, w których ktoś piszący o muzyce czy o literaturze zauważa moją płytę i myśli sobie: „o, to jest spoko, zrecenzuję to”. Natomiast – tak, jak podejrzewałem – w mediach oficjalnych oddźwięk jest prawie zerowy, choć do nich też wysłałem pressinfo i egzemplarze recenzenckie. Mogłem się tego spodziewać, mieszkając w Warszawie i robiąc w kulturze – wiem, jak wszystko działa i wcale mnie to nie zaskakuje.

J.B.: A dlaczego do wydania CD nie dołączyłeś tekstów utworów? Jesteś tak uparty, że nie chcesz ułatwić odbioru słuchaczowi, nie chcesz pozwolić mu pójść na łatwiznę?

W.C.: Tak, jestem uparty. W przypadku *Dział Zabronych* ma to związek z toczoną przeze mnie „walką” o zaistnienie poezji w formie audio. Bo mógłbym pójść do kogoś, dać mu swoje teksty i wydać tomik, nie? Żeby ktoś czytał sobie w domu „moje pojęcie o poezji ogranicza się...”? Nie. To musi być wypowiedziane przeze mnie, do konkretnej muzyki, tak, a nie inaczej. Chodzi o to, że nie wydaję płyty, tomiku, do tego jeszcze nie wiadomo ile teledysków, żeby tylko ktoś wreszcie zechciał mnie zauważyć.

J.B.: Powinieneś jeszcze nakręcić film autobiograficzny.

W.C.: Tak. Ale literatura jest tak niszową rzeczą, że nie spodziewałem się jakichś wybuchów. Świadomie też nie wysłałem *Dział...* do żadnych mediów związanych z rapem, bo jest to pewne getto, do którego nie chcę przynależać, choć przynależę mimowolnie, robiąc rap.

P.S.: Od czasów ddekombinacji coraz bardziej zmagasz się w tekstach z językiem. Czemu służy takie chwytnie go za słówka w rodzaju „będę ulicami błędził – ja, robot drogowy” czy „potykam się o słowa jak potyczka słowna”?

W.C.: W pewnym momencie złapałem się na tym, że nie chcę już pisać wprost. Chcę natomiast pisać rzeczy, które uderzają, docierają do słuchacza. Muzyka jest całkowicie abstrakcyjna, w przeciwieństwie do języka, którym jednak możesz bawić się podobnie... Mnie zależy na tym, żeby stwarzać rzeczy przejrzyste na powierzchni, ale posiadające też głębię, jakąś zabawę, grę. Wiesz, na przykład: „będę ulicami błędził – ja, robot drogowy”. *Ja, robot* – powieść Asimova. Nie wiem, czy w ogóle ktoś to wychwylił.

Po prostu chcę robić coś nieprzeciętnego, o czym słuchacz pomyśli: „o kurde, ale on wykombinował”. Pojawia się teraz mnóstwo raperów, którzy próbują podobnie – czasem to jest udane, czasem nie, a czasem zahacza o zupełną żenadę. Dla mnie ideałem byłoby tworzyć rzeczy, które są czytelne na pierwszym poziomie, ale posiadają jeszcze poziom drugi, trzeci, a nawet

czwarty, jeśli znasz moje życie na pamięć. Taka szkatułkowa budowa. To ambitne podejście, ale sprawia mi ono frajdę. Frajdę sprawia mi też, że od jakiegoś czasu przemycam w tekstach wrzuty na różnych raperów, których oni w życiu nie wylapią, a ja dzięki temu chodzę bezpiecznie ulicami (śmiech). Bawię się tym jak dziecko.

J.B.: A sam lubisz czytać poezję lingwistyczną?

W.C.: Nie, ja w ogóle mam problemy z czytaniem poezji. Za idealną formę uważam powieść. Uwielbiam odkrywać takie powieści, które są w stanie zmienić moje spojrzenie na świat.

J.B.: Jakie to na przykład powieści?

W.C.: Kiedyś na pewno *Młodości*. Ale ostatnio już prawie nie tak nie działa. Lubię utwory Johna Edgara Widemana, o którym chcę pisać doktorat, ale w Polsce mało ludzi go zna. Nawet w Stanach nie jest zbyt popularny. Dużo piszą o nim naukowcy z Europy, ale w Ameryce taka twórczość nie spotyka się z uznaniem, bo jak ktoś jest czarny, to musi robić rap w powieści... Duże wrażenie wywarło na mnie jeszcze *Sedno sprawy* Greena. Ostatnio czytam głównie Derridę i Widemana, więc głową jestem tam.

P.S.: Muszę pociągnąć Cię za język w kwestii języka, bo trochę mi umknąłś...

W.C.: Tak, jest on jakąś przeszkodą. Masz w ręku pióro albo w ustach saksofon. Uważam, że bardziej bezpośrednie będzie to, co zagrasz na saksofonie. Kiedy zaczniesz pisać, wpadasz w sieć – każde słowo w każdej głowie ma totalnie inne konotacje. Nie masz kontroli nad tą siatką znaczeń, z góry utrudnia ona przekazanie określonej treści, a jeśli dodatkowo chcesz się tym bawić...

P.S.: I jeśli naczytałeś się...

W.C.: różnych bzdur (śmiech). Rozumiesz.

P.S.: Ale w pewnym momencie ddekombinacji mówisz, że „język narzuca harmonię”, co trochę kłóci się z Twoimi słowami. Co to za harmonia, którą każdy pojmuje inaczej?

W.C.: No, pewnie żadna. Chodziło mi raczej o to, że w każdej wypowiedzi trzymamy się konwencji językowych, bo posługujemy się przecież jednym językiem, który jest nasz. Poprzez ten język postrzegamy wszystko. Wszystko. Mówisz po polsku „moherowy beret” – masz określone konotacje. Mówisz to samo po portugalsku – tych konotacji nie ma. Język nas ogranicza, nie wyjdziemy z tych kulturowych więzi. Na ddekombinacji rapuję jeszcze, że „nie uciekniesz od języka, który nadał ci kształt”. Chodzi mi o takie słowa-łatki. Ostatnio na tej zasadzie funkcjonuje „leming” – od razu wiadomo, o co chodzi. Język zamyka nas w świecie, w którym niekoniecznie chcemy być.

P.S.: Chciałbym Cię jeszcze zapytać o sam tytuł najnowszej płyty, *Działa Zabrane*...

W.C.: To jest zabawna historia. Kładłem się spać i nagle wpadłem na ten tytuł, ale zupełnie nie spodziewałem się takich interpretacji, że działa to pistolety, które ktoś zabiera – to było moje ostatnie skojarzenie. Pierwsze wyglądało tak: *Działa Zabrane* – masz płytę, która tak się nazywa, i możesz ją zabrać, np. ukraść ze sklepu, a ona wtedy zadziała. Nikt na to nie wpadł, więc to chyba jest słabe jednak (śmiech). Drugie znaczenie: *Działa Zabrane* jak dzieła zebrane, trochę gra z poezją, trochę się przeciw niej buntuje, i to też jest fajne.

P.S.: Moim pierwszym skojarzeniem była właśnie konwencja dzieł zebranych. Nałożyło się na nie doświadczenie Twoich wcześniejszych płyt i już przed przesłuchaniem wiedziałem, czego się spodziewać: bezsilność, beznadzieja. Typowe przedrozumienie.

W.C.: No tak, klimat płyty jest, jaki jest, ale – prawdę mówiąc – długo nie miałem pomysłu na tytuł, nie chciałem nazywać jej tytułem kawałka czy czymś podobnym. Poza tym świadomym zabiegiem jest sygnowanie jej imieniem i nazwiskiem: Wojtek Cichoń, a nie ksywą: Kidd. Chciałem zobaczyć, co się stanie, jeśli zrobię coś takiego. No i nic się nie stało (śmiech).

P.S.: Na *Działach Zabrzanych* zadajesz też samemu sobie pytanie, „czy zadawanie pytań wewnątrz tekstu nie jest pójściem na łatwiznę?”. Nie sądzisz, że jest dokładnie na odwrót? Zadawanie pytań świadczy przecież o dostrzeganiu złożoności życia. Na ddekombinacji rapowałeś zresztą, że „odpowiedzi są tylko nową formą pytań”.

W.C.: Chodziło mi raczej o to, że pisanie tekstu nie jest wcale takim łatwym zabiegiem. Możesz sobie wewnątrz niego zadać pytanie i za nim pójść, a to jest dość ograny zabieg. Ja myślę takimi kategoriami, że swój tekst będę kiedyś mówił na scenie. Jak już wspominałem, lubię coś budować, a potem to podcinać, taki mam charakter. W moim świecie faktycznie odpowiedzi rodzą kolejne pytania. Jednak jeśli chodzi o tekst, to jego istotą jest kondensacja myśli, emocji, wątpliwości, złożenie ich w spójną paczkę, która z każdym kolejnym odsłuchem coraz bardziej będzie się dla słuchacza otwierać. Myślę, że to jest sztuka. A zadawanie pytań wewnątrz tekstu? Jeśli nie robi się tego umiejętnie, może być trochę infantylne. Ale pytania, podważanie – tak, tak, to jest moja specjalność. Gdybyś w coś za bardzo uwierzył, to dzwoń (śmiech).

P.S.: Na koniec: „Za brudny na salony, za trudny na koncert” – to jedna z Twoich najcenniejszych autocharakterystyk. Ale jeśli tak, to gdzie jest Twoje miejsce? A może to dwa odrębne miejsca dla Kidda i Wojtka Cichonia?

W.C.: Kiedy pierwszy raz przyszedłem na slam, mając za sobą kilka płyt rapowych wydanych jako Kidd, chciałem zobaczyć, jak tekst, który nie jest rapowy – najwcześniejszy kawałek napisany na slam to x99 – się sprawdzi. Wystąpiłem więc jako ja, a nie jako Kidd, żeby pokazać, że mimo że mam szerokie spodnie i bluzę z kapturem, posiadam również imię i nazwisko i nie zawsze rapuję. Od tego czasu „istnieje” Wojtek Cichoń – myślę, że to był fajny ruch. Swój następny krążek rapowy wypuszczę jako Kidd. Powiedziałem sobie, że dopóki robię rzeczy spoken wordowe, to jest Wojtek, a jak rapuję, to jest Kidd. Kiedy zaczniesz się to łączyć, będę miał problem (śmiech).

A jakie jest moje miejsce? Nie wiem. Mam ten luksus, że nie muszę szukać żadnego miejsca, bo nikt nie wymaga ode mnie tego, żebym się gdzieś odnalazł czy jakoś określił. Ja robię, co chcę, i przemawiam do garstki osób – spoko. Po prostu mam potrzebę pisania... Nie wiem, gdzie jest moje miejsce, kurde, nie wiem.

